

Eva Gudrymowicz-Schiller



BOCZNA
ULICZKA

EVA GUDRYMOWICZ-SCHILLER

**BOCZNA
ULICZKA**

© Copyright by Eva Gudrymowicz-Schiller (Self-publishing)
ISBN978-83-63080-65-5

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

*Wszelkie zdarzenia, sytuacje oraz postacie występujące w tej książce są fikcją i jakkolwiek
związek ze zdarzeniami, sytuacjami czy osobami rzeczywistymi, jest przypadkowy i niezamierzony*

Eva Schiller

*Moim Dzieciom, Ani i Maćkowi Gudrymowicz,
wraz z moją nieustrudzoną, niezmierną miłością*

Autorka

Kiedyś chciałem w wodzie schwytać niewyraźny obraz kwiatka,

Lecz dłoń moja pochwyciła trochę mułu, zamiast płatka

Maksym Gorki

ROZDZIAŁ I

Konrad zanurzył się w warszawski, wilgotny świt. Wiosna tego roku ociągała się z przybyciem, mamiąc z rzadka krótkotrwałym słońcem, częściej jednak strasząc przejmującym wiatrem i deszczem. Prognozy w całej Polsce nie były optymistyczne i na razie nie zapowiadano ocieplenia. Konrad z daleka dostrzegł światła autobusu, więc przyspieszył kroku. Mimo porannej pory było dość tłoczno. Niektóre twarze współpasażerów były mu znajome. W końcu jeździł tym autobusem od ponad trzech lat.

Olszewski pracował w Pogotowiu Ratunkowym jako kierowca karetki. Lubił swoją pracę, a świadomość, że od jego refleksu i szybkości zależy ludzkie życie, dodawała jej sensu i ważności. Mimo lat spędzonych w Pogotowiu, nie mógł obojętnie patrzeć na czyjś ból i cierpienie, najdotkliwiej jednak odczuwał, kiedy pasażerami jego karetki były dzieci. Przed oczami widział wtedy Iwonkę lub Joasię. Dociskał wówczas pedał gazu i samochód dostawał bez mała skrzydeł. Lawirował po mistrzowsku między innymi pojazdami, przyspieszając lub zwalniając w razie konieczności. Autobus zatrzymał się na kolejnym przystanku, część ludzi wysiadła, wsiedli następni. Konrad przesunął się do przodu. Spojrzał na zegarek – 6.30. Szybko policzył w myślach. „Prawie 10 godzin” – uśmiechnął się nieznacznie.

„Zachowuję się jak sztubak” pomyślał. Ale nie mógł na to nic poradzić, że często zdarzało mu się liczyć godziny lub dni do spotkania z Anną. To, co pięć miesięcy temu zaczęło kielkować między nimi, było wciąż stanowiło dla niego źródło radosnego zdziwienia. Właściwie już nic nowego w życiu nie oczekiwał. Skończył 36 lat i nie

umiałby powiedzieć, czy były to lata szczęśliwe. Nigdy właściwie się nad tym nie zastanawiał.

Najpierw dzieciństwo w niewielkiej podkieleckiej wsi. Pamiętał jeszcze siniaki i guzy, jakie przynosił do domu po wszystkich stoczonych bitkach z chłopakami, od których dowiedział się bolesnej prawdy. I wiedział, że jakkolwiek mocno by nie bił, nie mógł jednak temu zaprzeczyć. A w domu czekała matka i dziadkowie. Nie pytali, o co tym razem się bił, oni wiedzieli. I widzieli jego cierpienie. Niezasłużone cierpienie 10-letniego szczeniaka, który choć zaliczał coraz to nowe sińce, nigdy jednak się nie poskarżył. Pierwszy na rozmowę z nim zdecydował się dziadek. Po kolejnym powrocie z rozkrwawionym nosem, dziadek przeczekał, aż matka obmyje go i opatrzy, a potem wziął go ze sobą do obory. Krzątając się około jedynej krowiny, jaką mieli, powiedział:

– Nie musisz się bić, ale musisz wiedzieć, że nie jesteś od nikogo gorszy.

I wtedy w Konradzie eksplodował cały nagromadzony żal. Załamującym się i piskliwym głosem wykrzyczał, że nie chce być bękartem, że chce mieć ojca jak inni i że każdy, kto go tak jeszcze raz nazwie, to popamięta. Dziadek przeczekał ten wybuch, a potem powiedział:

– Nikt z nas nie ma wpływu na to, kim się urodzi. I nie wszyscy mają ojców. Jednych ojcowie zginęli, innych po prostu nie wrócili. A ty masz matkę, masz babkę i mnie. I nie jesteś bękartem. Bo bękart to ktoś niechciany i niepotrzebny. A ty od początku byłeś chciany i upragniony przez nas wszystkich.

Po tej rozmowie Konrad przestał się bić, na zaczepki i wyzwiska po prostu nie reagował, choć zaciskał pięści ze złości. Ale to, co dziadek miał na myśli, zrozumiał dopiero w kilka lat później, kiedy już ani dziadka, ani babki nie było na świecie. Odeszli oboje w miesiąc, jedno po drugim, zdmuchnięci przez azjatycką grypę, na którą ani felczer, ani doktor z ośrodka nie mogli nic poradzić.

Którejś nocy, kiedy krztusząc się ukrywanym płaczem z tęsknoty za nimi, zwłaszcza za dziadkiem, którego kochał chyba najbardziej na świecie – usłyszał łkanie

matki. Umilkł wtedy zaskoczony, a potem podbiegł szybko do niej. I płakali razem, przytuleni jedno do drugiego, dwoje sierot opuszczonych przez ludzi, których miłości byli tak bardzo pewni. Nie spali tej nocy bardzo długo, bo kiedy już zabrakło łez, matka zaczęła mówić. Dowiedział się wówczas wszystkiego, i choć miał dopiero 13 lat, pojął ogrom miłości, jaki go otaczał.

Był rok 1947. Drugi rok po wojnie. Nie wszyscy jeszcze oplakali swoich bliskich, straconych podczas zawieruchy. W rodzinie Olszewskich też kogoś ubyło. Nie miał już nigdy wrócić brat Zofii – Ryszard. W '43 dostali telegram od jego dowódcy donoszący, że „plutonowy Ryszard Olszewski poległ na polu chwały”. Zofia długo nie mogła pogodzić się z tym, że więcej Ryśka nie zobaczy. Starszy od niej o 5 lat, przeżywał ją „smarkatą” i ciągnął za warkocze. Dużo by teraz dała, żeby znów móc się z nim przekomarzać. Ale najbardziej ta strata załamała starego Olszewskiego. Dawniej wybuchowy i nieprzebierający w słowach, po śmierci syna zamknął się w sobie na długi czas. A kiedy znów zaczął rozmawiać z żoną i córką, obie kobiety zauważyły w nim wyraźną zmianę. Złagodniał i zrobił się cichszy, jakby coś w nim pękło i nigdy już nie miało się zasklepić.

Tamtego, trzeciego powojennego lata do nowo otwartego PGR-u przyjechała grupa studentów z Krakowa do pomocy przy żniwach. Zakwaterowano ich w szkole na skraju wsi. Zarówno ci miastowi, jak i młodzież wiejska, szybko się ze sobą pobratali. Do zmierzchu pracowali razem w polu, a wieczorem spotykali się na ogniskach i śpiewach, pieczeniu kartofli. Tak Zofia poznała Staszka. Stanisław Pawlicki miał 24 lata i był studentem drugiego roku medycyny. Maturę zdał na tajnych kompletach i po zakończeniu wojny rozpoczął studia. Wychowany w niedużej rodzinie krakowskiego zegarmistrza, Staszek – młodszy z dwóch braci – był oczkiem w głowie matki. To, że wrócił z wojny, graniczyło dla niej bez mała z cudem, zwłaszcza że starszy brat, Justyn, po zakończeniu wojny pozostał za granicą. Przysłał tylko wiadomość przez powracającego kolegę, że zostaje w Belgii i że za kilka lat może ich odwiedzi. I żeby się o niego nie martwili.

Staszek był wysoki, z burzą ciemnych włosów i ciemnymi, wesołymi oczami. Na Zofię zwrócił uwagę, bo na tle śmiałych, rozgadanych koleżanek, o krótko ściętych czuprynkach, wyróżniała się cichością i ciężkim, płowym warkoczem, opadającym na plecy. I którejś soboty po zakończonym ognisku zaproponował, że odprowadzi ją do domu. Poszli drogą okrężną, poprzez mały zagajnik, a potem jeszcze długo siedzieli nad brzegiem rzeki. Tak się zaczęło. Od tego dnia spotykali się co wieczór. Czasami siedzieli nad rzeką, czasami szli na stary cmentarz, a czasami przysiedli na skraju polany na zwalonym pniu, opowiadając sobie o swoich jakże różnych dzieciństwach, o jego wojennych latach, jej bólu po śmierci Ryśka, o swoich planach na przyszłość. Wtedy też poznała smak pierwszych pocałunków. Aż przyszła ta noc, kiedy odprowadziwszy ją do domu po skończonych tańcach, Staszek nie pożegnał się jak zawsze, ale łagodnie pociągnął ją w kierunku niewielkiej stodoły Olszewskich. Zosia do dziś pamięta zapach siana, jaki towarzyszył ich kochaniu się. Później zachodzili do tej stodoły częściej. Staszek nigdy nie mówił, że ją kocha, a i ona nie pytała. Cieszyła się chwilą obecną, jego bliskością i ciepłem. Trwało to całe lato. Przyszedł jednak dzień, kiedy studenci zaczęli szykować się do powrotu. Żegnała ich cała wioska, dziękując za pomoc i zapraszając na następne lato. Zosia stała wśród innych. Miała nadzieję, że uda jej się, choć na chwilę, zostać ze Staszkiem na osobności, ale wszędzie tłoczyli się ludzie. Sołtys, zdyszany i zaczerwieniony pokrzykiwał, popędzając jednych, przeganiając innych. Dopiero przed samym wskoczeniem do ciężarówki, Staszek podbiegł do niej na moment:

– No, bywaj, Zosiu, to były moje najlepsze wakacje. Może spotkamy się tu za rok – i nie zważając na obecność innych, pochylił się i pocałował ją w oba policzki, a po leciutkim namyśle – również w rękę. Stała nieruchomo, porażona bezosobowością i chłodem tego pożegnania. I tym przekreśleniem, wymazaniem ich bliskości, jakby tamte noce nie istniały, jakby nie odkryli razem nowego łądu.

– Tu jest mój adres, zajrzyj, gdybyś kiedyś była w Krakowie – powiedział niezobowiązująco i podał jej małą, zwiniętą karteczkę.

I to już było wszystko. Ciężarówka odjechała, wzbijając tumany kurzu, ludzie rozeszli się do domów. Wróciła do domu także Zosia, ściskając w dłoni ten skrawek papieru, jedyny ślad, że w jej życiu coś się zdarzyło.

Następne tygodnie miały pokazać, że nie był to jednak jedyny ślad. Czuła się źle, kręciło jej się w głowie, męczyły ją nudności. I kiedy któregoś dnia stara Olszewska przyłapała ją, jak wymiotuje z tyłu domu, Zocha z płaczem wyznała matce, że minął jej czas i że chyba jest brzemienna. Olszewska złapała się za głowę.

– Matko Ostrobramska, coś ty, dziewczyno, zrobiła, ojciec nas chyba obie zabije – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

Zosia łkała cicho. To, co w innych okolicznościach mogło być dumą i radością, dla niej okazało się wstydem i sromotą.

– Jezusie Nazareński – zawodziła matka – i co ja powiem ojcu, co powiem? Jeden zginął, a druga przyniosła dzieciaka.

– To pewnie ten czerniawy, co tu się kręcił każdego wieczora. Rozum ci odebrało, żeby się z miastowymi zadawać? Mało to naszych chłopaków – co to i kawałek ziemi mają i do żeniaczki skorzy. A ten, co, przecież się nie będzie żenił? – zapytała z nadzieją.

Córka milczała, jej drobnym ciałem wstrząsał szloch.

– Idź do chałupy, ale nie wchodź ojcu w oczy. Ja z nim sama porozmawiam. Chłop zawsze rozumniejszy, może jakieś wyjście znajdzie.

Zosia skwapliwie umknęła. Olszewska podreptała trochę w miejscu i poszła szukać męża. Znalazła go w oborze.

– A ty tu czego, mało to roboty koło domu? – warknął.

– Robota może poczekać, jest co innego, o co się trzeba pierwszej zakrzętać.

Stary przerwał wymiatanie gnoju i uważnie spojrział na żonę. Olszewska aż oddech straciła ze strachu.

– O czym ty mówisz, kobieto?

Milczała, szukając słów, od których mogłaby zacząć.

– No – ponaglił żonę.

– Zocha – zaczęła niepewnie i urwała...

– Co Zocha?

– Zocha się spodziewa – wypaliła szybko, jakby się chciała tego ciężaru pozbyć i przełożyć go na mężowskie barki. Zamilkła i czekała na burzę, która teraz miała nastąpić. Ale Olszewski nie reagował. Patrzył wzrokiem, z którego nie mogła nic wyczytać. Dopiero po bardzo długiej chwili spytał.

– Kto?

– Ten czarniawy medyk z Krakowa.

– Będzie się żenił?

– A gdzie tam, czy to tym miastowym żeniaczka w głowie, a do tego z wiejską dziewczyną? Ot, znalazł sobie zabawkę, na przerwę w szkoleniu – Olszewska widząc, że mąż nie ciska gromów, odzyskała pewność siebie.

– Stary, i co my zrobimy? Przecież to wstyd dla dziewczyny obnosić się z brzuchem po wsi. Wszyscy ją wezmą na języki.

Ojciec zapalił papierosa, a potem po namyśle powiedział.

– Najsampierw trzeba się upewnić, czy to będzie wstyd. A może ten młody jest honorny i się z Zosią ożeni. Trza mu dać znać.

– Ja tam swoje wiem – odparowała stara. – Zocha by nie płakała tak, gdyby myślała, że się z nią ożeni. A tu nie ma na co czekać. Potem może być za późno.

– Za późno? O czym ty zamyślasz?

– A myślę o starej Kowalikowej z drugiej wsi, już niejednej dziewczynie pomogła, jak była w kłopotcie. I kobiety we wsi mówią, że jest zręczna.

Mąż popatrzył na nią, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu.

– Bój się Boga, kobieto, czyś się szaleju najadła? Chcesz i dziewczynę, i dzieciaka do grobu wpędzić? Nie dość ci, żeśmy jednego stracili? Chcesz i ją na zatracenie dać?

– Na jakie tam zatracenie? Mało dziewczyn to robi, a po tygodniu wyglądają jak krew z mlekiem.– mówiła coraz pewniej.

Stary podniósł się z zydla i stanął przed żoną. Dopiero teraz w oczach miał błyskawice.

– Nie dam – krzyknął mocnym głosem – nie pozwolę! Skończył się czas zabijania. Teraz nastał czas, kiedy trzeba cenić każde życie, nawet dopiero co poczęte.

– Ale ludzie... co powiedzą ludzie we wsi, taki wstyd.– lamentowała kobieta.

– Nie będę mogła się w spółdzielni pokazać.

– Wprzód trzeba zawiadomić młodego. Może się ożeni. A choćby i nie, to się obejdzie. Prosić go nie będziem. Wychowa sobie dzieciaka Zosia sama, a my jej pomożemy. A ludzie pogadają i zapomną. I nie waż się więcej zamyślać o starej Kowalikowej i Zosi o tym nawet nie wspomnij. Może to zrządzenie boskie.

Zosia cały wieczór i następny ranek unikała ojca, jak mogła. A kiedy przyszedł czas obiadu i ojciec wrócił z pola, była akurat w izbie. Chciała się wymknąć, ale Olszewski kazał jej usiąść przy stole. Żona postawiła przed nim kapuśniak, ale nim zaczął jeść, powiedział:

– Matka, dołóż no Zochnie jeszcze, przecież musi teraz jeść za dwoje.

Zofia umilkła, spojrzała na skupioną twarz syna.

– Dziadek cię bardzo kochał, a i babcia też, kiedy już pogodziła się z myślą, że będą chrzciny bez wesela. Któregoś dnia po twoim urodzeniu, opowiedziała mi tą całą rozmowę z dziadkiem. I dodała na zakończenie.

– Bóg nas uchronił przed popełnieniem grzechu śmiertelnego i wynagrodził tym, że dzieciak jest śliczny i zdrowy. Módl się, Zocha, co dzień za zdrowie ojca, bo ja, ciemna baba, zaprowadziłabym cię do Kowalikowej.

*

Mały Radek odgarnął włosy z czoła i zadał pytanie, które nurtowało go najbardziej:

– A ojciec nigdy mnie nie widział?

Zofia westchnęła.

– Nie, nigdy. Zaraz następnego dnia, po tej rozmowie dziadków, napisałam do niego list, na adres, który mi podał. Nie dostałam odpowiedzi i myśleliśmy, że list zaginął gdzieś w drodze. Czekaliśmy kilka tygodni, a któregoś dnia pojechałam z dziadkiem do Krakowa. Z trudem znaleźliśmy ten adres, ja wtedy byłam w Krakowie po raz pierwszy, a dziadek raz czy dwa, przed wojną. Otworzyła nam starsza kobieta, matka Staszka. Przedstawiłam się i zapytałam o niego. Odpowiedziała, że Staszka nie ma i że dla mnie nigdy go nie będzie. I że nie mam tu po co przyjeżdżać. Dziadek złapał mnie za rękę i pociągnął do schodów. Na odchodnym jeszcze usłyszeliśmy:

– I panna, nijakich listów tu nie pisz!

– Później, w pół roku po twoim urodzeniu, napisałam jednak jeszcze jeden list. Wysłałam również twoją metrykę i zdjęcie, żeby ojciec widział, jaki jesteś śliczny i do niego podobny. Na ten list też nie było odpowiedzi, ale ja już na odpowiedź nie czekałam. Miałam ciebie i było to najlepsze, co mogło mi się zdarzyć. Byłeś zdrowy, mądry i chowałeś się dobrze. Kiedy miałeś 3 lata, zaczęłam pracować w GS-ie jako pomoc sklepową, a potem już sama prowadziłam sklep. Ty byłeś z babcią i dziadkiem. Myślę, że w jakiś sposób zastępowałeś im wujka Ryśka, który zginął na wojnie.

– Teraz już wiesz wszystko, synku – przytuliła chłopca mocno i pocałowała w gładkie czoło.

Do tej rozmowy Konrad często wracał myślami. Snuł marzenia o nigdy niewidzianym ojcu. Wyobrażał sobie, że kiedyś go spotka i wybaczy mu te wszystkie nieobecne lata, że przyprowadzi go do matki i wszystko będzie u nich jak u innych ludzi. Z biegiem lat te marzenia stawały się coraz bardziej mgliste i niewyraźne, aż przyszedł moment, że Konrad stwierdził, iż mu na spotkaniu z ojcem już nie zależy. A jeśli go kiedyś jednak odnajdzie, to już będzie wiedział, co mu powiedzieć. Później przyszły lata szkoły średniej i internatu. Matka dalej pracowała w GS-ie i mieszkała w domku po rodzicach. Ten kawałek ziemi, który mieli, oddała państwu. A Konrad dojeżdżał na soboty i niedziele, i wszystkie święta, które spędzali we dwoje.

Miał chyba już ostatni rok szkoły przed sobą, kiedy matka wyszła za mąż. Za bezdzietnego wdowca, starszego od niej o 15 lat. I z tej małej kieleckiej wioski przeprowadziła się do męża do Warszawy. Do niedużego mieszkania w przedwojennej, odrapanej kamienicy na Woli. To tam wrócił po skończeniu szkoły, choć najchętniej zostałby jeszcze w internacie. Czy zrozumiał wtedy decyzję matki? Nie, chyba wtedy jeszcze nie. Ojczym właściwie od początku przyjął w stosunku do niego postawę serdeczną. Konrad najpierw na wyraźne życzenie matki, a potem już z własnej woli, mówił do niego – tato. I był mu wdzięczny za ciepło i opiekę, którą otaczał matkę. Niedługo potem Konrad odszedł do wojska na dwa długie lata.

Już nie pamięta, na której z przepustek poznał Jolkę. Było ich wtedy dwóch: on i Bronek, który do warszawskiej jednostki trafił z Gdańska. Przystanek autobusowy, na którym stali, wydawał się zapomniany przez Boga i MZK. Dwie dziewczyny, które podeszły, były równie zziębnięte jak oni. To chyba Bronek zaproponował kawę. Tak się zaczęło. Spotykali się na każdej przepustce Konrada. Jolka też nie była z Warszawy. Mieszkała kątem u jakiejś dalekiej ciotki i pracowała w kwiaciarni. Jej rodzice i reszta rodzeństwa mieszkali pod Ostrołęką. Do końca wojska nic nie mówił rodzicom o tej znajomości, choć bywał u nich, jeśli tylko miał przepustkę, i nie spotykał się z Jolką. Pierwszy raz przyprowadził ją do domu już po wyjściu z wojska. Nie mógł nie zauważyć cienia niechęci na twarzy matki, choć widział również, że starała się być miłą. A potem przyszedł ten tydzień, kiedy rodzice pojechali do Łodzi do kuzynki ojczyma. Jolka nie musiała się spieszyć do domu. Następnego dnia zawiadomiła ciotkę, że wyjeżdża na kilka dni. Ten tydzień spędzili razem, razem wychodzili do pracy, ona do kwiaciarni, a on do Zakładów Narzędzi Lekarskich, gdzie wtedy pracował.

Z tego okresu zapamiętał swoje i jej zdenerwowanie, przed tym, co się miało im zdarzyć, co chcieli, żeby im się zdarzyło. Kiedy go zawiadomiła, że ta przygoda jak w kiepskiej przedwojennej powieści, nie pozostanie bez konsekwencji, przyjął to spokojnie.

– Pobierzemy się – powiedział i wmówił jej, a potem sobie, że ją kocha. Pamiętał dobrze swoje uczucia, jako dziecko bez ojca. Matce na jej pytanie, czy się dobrze zastanowił, odpowiedział:

– Wystarczy, że ojciec postąpił w ten sposób, ja zrobię inaczej – dodał twardo.

Ślub odbył się, kiedy Jola była w piątym miesiącu ciąży. Przez jaki czas mieszkali z rodzicami Konrada, a potem ojczym dzięki swoim tajemniczym znajomościom i łapówce załatwił im pokój z kuchnią w starym budownictwie. Niestety w połowie ósmego miesiąca Jola dostała nagłego krwotoku i po trzech godzinach urodziła martwego chłopca. Lekarze nawet nie umieli podać żadnego konkretnego powodu. Stwierdzili jedynie, że Jola jest zdrową, normalną kobietą i nie powinna mieć problemu przy następnych ciążach. Mimo tego zapewnienia czekali prawie trzy lata na urodzenie Joasi,

do samego porodu niepewni, czy nie skończy się jak poprzednio. Tym razem jednak wszystko przebiegło prawidłowo. I Konrad, który choć miał cichą nadzieję na syna, był dumny i szczęśliwy, kiedy pierwszy raz zobaczył swoją córeczkę. Iwona urodziła się dwa lata potem. Ciągłe mieszkają w tym samym domu, mimo że urzędnicy z kwaterunku od lat obiecują im, że już w następnym roku pierwsze wolne mieszkanie będzie dla nich.

Autobus zatrzymał się na kolejnym przystanku, Konrad poddał się fali wysiadających. Rozpoczął swój kolejny dzień, jakże jednak inny niż wszystkie dni sprzed pięciu miesięcy.

ROZDZIAŁ II

Budzik zadzwonił ostro, natarczywie. Anna otworzyła nieprzytomnie oczy, przewróciła się na drugi bok bez żadnej chęci wstania z łóżka. Ta ceremonia wstawania powtarzała się co dzień i Anna po kilku bezowocnych próbach zatrzymania snu, wreszcie się poddawała. Potem wszystko już musiało toczyć się szybko. Śniadanie dla Jarka i dla siebie, drugie śniadanie dla syna do szkoły i chwila dla siebie przed lustrem. I nagle pośród tej nerwowej, pośpiesznej krzątaniny Anna przystanęła na chwilę, porażona radością jak niespodziewanym promieniem słońca.

– On dziś znów zadzwoni, dziś znów go zobaczę!

– Mamo, która godzina? – zbudził ją z zamyślenia głos syna.

– Wstawaj, po 7.00, ja już uciekam, śniadanie masz w kuchni na stole – pocałowała chłopca w czarne potargane ze snu włosy i już była przy drzwiach.

– Nie spóźnij się do szkoły – przypomniała jak co dzień.

Autobus jest jak zwykle zapchany do granic wytrzymałości. Annie udało się w końcu dostać do środka, popychana i poszturchiwana, spróbowała przyjąć jak najwygodniejszą pozycję.

– Dobrze, że to niedaleko – pomyślała z ulgą, gdy w dali zobaczyła przestronny pawilon biblioteki.

O tej porze w bibliotece zwykle było jeszcze pusto. Anna najbardziej lubiła te pierwsze trzy godziny swojej pracy, gdy biblioteka była jeszcze zamknięta dla czytelników. Zajmowała się wtedy inwentaryzacją książek, uzupełnianiem kart czytelników, porządkowaniem półek. Przed 11.00 zaczęły się schodzić pozostałe osoby personelu: pulchniutka Weronika, wesoła i optymistycznie nastawiona do świata kierowniczką – pani Janina – sucha i kostyczna, bardzo zważająca na nieprzekraczanie służbowego dystansu, i wreszcie mała Agata, 20-letnia smarkuła, trochę złośliwa, wieczną solą w oku jest dla niej pierwsza zmiana Anny. Niejednokrotnie rzucała w przestrzeń zdania w rodzaju:

– Nikt nikomu nie kazał mieć dzieci i potem się rozchodzić z mężem.

Anna początkowo nie reagowała na te bardzo wyraźne przytyki do jej samotnego macierzyństwa, ale kiedyś nie wytrzymała i bardzo spokojnym, choć nieco drżącym głosem, spytała:

– Czy uważasz, że rozwiedzione matki powinno się palić na stosie wraz z ich dziećmi?

– Ja przecież nic do pani nie mówiłam – zrejterowała Agata.

– A jednak do mnie to trafiło.

Jak prawie każdą podobną sytuację rozładowała Weronika.

– Cicho, baby – Agata, nie wiesz, jak ci się jeszcze życie ułoży, a ty, Anka, nie tragizuj, stosi już dawno wyszły z obiegu.

Od tej pory Agata, jeśli nawet burzyła się w myślach na wychodzenie Anny o godz. 16.00, to wstrzymywała się od kąśliwych uwag.

Dzisiaj odpowiadając na powitania koleżanek, Anna pomyślała, nie po raz pierwszy, że mimo oschłego charakteru kierowniczk i złośliwego języka Agaty, biblioteka stanowi jej azyl. Drugi dom. Książki, to był temat osobny. Do nich Anna miała stosunek zupełnie specjalny. To było dla niej coś, bez czego nie wyobrażała sobie życia. Czy to w bibliotece, kiedy doradzała, podpowiadała, czy wybierała czytelnikom książki, czy w domu, kiedy już po zaśnieściu Jarka, nierzadko spędzała z książką długie godziny. Każdy taki kontakt był dla Anny kontaktem z żywą osobą, z kimś bliskim. Zdawała sobie sprawę, że 32-letniej kobiecie i matce 12-letniego syna nie bardzo przystoi taka egzaltacja, starała się więc ukrywać tę swoją namiętność do książek – raczej mało skutecznie.

– Pani Anno, czy włączyła już pani ostatnią dostawę z Ossolineum? – spytała kierowniczka, zdejmując płaszcz.

– Oczywiście, tym razem obejdzie się bez reklamacji.

– Słuchajcie, to jakieś oszustwo z tą pogodą – włączyła się Weronika. – Koniec kwietnia, a zimno jak w październiku.

– Nie szkodzi, lato będzie dłuższe – uśmiechnęła się Anna.

Agata poprawiła włosy przed lustrem, a potem nie spiesząc się, podeszła do swojego biurka w dziale literatury dla dzieci i młodzieży. O tej porze nie miała dużo roboty. Zaczęli napływać pierwsi czytelnicy. Jak zwykle rano byli to przeważnie emeryci. Anna utonęła w pracy. Większość wypożyczających była jej znana, znała ich gusty i upodobania. Wiedziała, komu podsunąć kryminał, komu romans, a komu coś ambitniejszego. Czasem tylko przemknęła jej przez głowę myśl, że do końca pracy zostało już niewiele czasu, a Konrad jeszcze nie dzwonił. Telefon odezwał się dopiero przed trzecią. Kierowniczka powiadomiła ją o tym fakcie i zaoferowała się ją zastąpić. Po chwili Anna usłyszała w słuchawce głos Konrada.

– „I just called to say, I love you”.

– Fałszujesz, Konradku – zaśmiała się cicho.

– Słuchaj serca, a nie głosu.

Konrad nieodmiennie od jakiegoś czasu w ich telefonicznych rozmowach witał Annę tą popularną piosenką Steviego Wondera. I Annie nie było to niemiłe.

– Jak ci minął dzień?

– Normalnie, bez żadnych sensacji, a co u ciebie, jak gardło Iwony?

– Jeszcze bierze leki, ale już jutro chyba pójdzie do szkoły.

Na chwilę w słuchawce zapada cisza. Oboje czują, że rozmawiając o zwykłych, codziennych sprawach, są sobie najbliżsi. Anna wie o trudnościach Joasi z matematyką, chorym gardle Iwony. Konrad pyta o zbiórkę harcerską Jarka.

– Anno, czy możemy się dzisiaj spotkać?

– Tak, ale nie będę miała dużo czasu. Jarek o 17.00 kończy angielski.

– Będę czekał o 15.45 w naszej kafejce. Łap buziaczka – Anna słyszy cmoknięcie w słuchawce.

– Złapałam, oddam potem.

Kiedy po 16.00 Anna wyszła z pracy, na dworze było nadal chłodno i nieprzyjemnie. Szybko przemierzyła dwie ulice dzielące ją od kawiarenki „Na Skarpie”. Salka, do której weszła, była nieduża, licząca zaledwie osiem czy dziesięć stolików. Ale była czysta i przytulna. Spotykają się najczęściej tu, bo nie wiadomo, dlaczego wydaje im się nieprawdopodobieństwem spotkać tutaj kogoś znajomego. Konrad siedział przy jednym z miniaturowych stolików i Anna, widząc go, poczuła miłe ciepło wokół serca.

Anna poznała Konrada i Jolę, jego żonę, na imieninach ich wspólnej znajomej Krystyny. Było to siedem czy osiem lat temu. Trwało jeszcze wtedy jej małżeństwo z Robertem. Nic z tamtego przyjęcia nie utkwiło Annie w pamięci. Imieniny jak setki innych. Toasty, tańce, śmiechy...

A w kilka dni później w sklepie z obuwiem spotkała Jolkę. Ta przypadkowa rozmowa skończyła się umówieniem na wspólną kawę u Jolki. Okazało się, że mieszkają przy jednej ulicy. Później spotykały się dość często, czasami we czwórkę z mężami, czasami tylko same na babskie ploteczki, szmatkowe rewelacje. Anna polubiła ich oboje. Konrad zrobił na niej wrażenie człowieka szalenie prostolinijnego i uczciwego, a Jolka, choć może nie była zbyt błyskotliwa, wzbudziła w Annie sympatię swoją bezpośredniością. Robert twierdził, co prawda, że ta bezpośredniość Jolki często graniczy z chamstwem, ale Anna już dawno przestała opierać się na zdaniu męża.

Małżeństwo ich już wtedy weszło w fazę, która po trzech latach miała zakończyć się rozwodem. Wszelkie starania Anny, żeby zachować rodzinę, przynajmniej dla Jarka, spełzły na niczym. I pewnego wrześnieowego dnia Anna wyszła z ponurego gmachu warszawskiego sądu jako kobieta rozwiedziona.

Znajomość z Konradami trwała nadal, a nawet się jakoś zacieśniła. Wpadali oboje do niej często, czasem Anna zostawiała Jarka u Jolki, czasem sama pilnowała ich córek, kiedy Konrad z Jolą szli do kina czy teatru.

Robert w tym czasie się wyprowadził do rodziców, i Anna niekiedy wieczorami po zaśnięciu Jarka czuła się samotna. Wtedy zjawiała się u Konradów na szklankę herbaty i jednego papierosa. Nieraz zastawała ich oboje, nieraz tylko Jolkę, bo Konrad miał drugą zmianę. Te właśnie wieczory bez Konrada zbliżyły bardzo obie kobiety. Jolka opowiedziała Annie o swoim dzieciństwie na wsi, poznaniu Konrada, żaliła się na niechęć teściowej. Anna mówiła o śmierci rodziców, o wielu problemach, które rozbiły jej małżeństwo, o swojej pracy w bibliotece. Czasami na tych zwierzeniach zastawał ich Konrad po powrocie z drugiej zmiany i był witany jak intruz. Kończyły wtedy rozmowę i Anna wracała do domu. Były również inne spotkania u Anny, kiedy Konrad naprawiał

cieknący kran czy przepaloną spiralę w kuchence. Jarek w swoim pokoju bawił się z Joasią i Iwonką, a Jola i Anna trajkotały bez opamiętania. To właśnie przy jednej z takich okazji, chyba z rok temu, Jolka szepnęła Annie po cichu:

– Wpadnij do mnie jutro wieczorem, chcę ci coś powiedzieć.

Na zdziwione spojrzenie Anny dodała:

– Konrad ma drugą zmianę.

Kiedy następnego dnia Anna przyszła, Jolka posadziła ją w fotelu z filiżanką kawy i zaczęła konspiracyjnie:

– To oczywiście zostanie między nami.

– No wiesz, jeżeli nie masz takiej pewności, to lepiej nic nie mów – zachnęła się Anna.

– Mam, mam, tylko tak powiedziałam, bo sprawa jest niecodzienna.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam, że przed poznaniem Radka, spotykałam się z takim facetem?

– Mhm, malarzem czy rzeźbiarzem.

– Malarzem, słuchaj, ja go spotkałam kilka dni temu, najpierw go nie poznałam, bo to minęło już chyba z 15 lat, ale on do mnie podszedł.

– 15 lat? To ile ty miałaś wtedy lat?

– No, prawie 18.

– No i co? Mów w końcu!

– Byliśmy na kawie, trochę wspominaliśmy. On wtedy wyjeżdżał za granicę, właściwie się nie umówiliśmy, co dalej, czy się spotkamy i jak. To co nas łączyło wtedy,

było takie niewinne, nic się nie zdarzyło... poza paroma pocałunkami i jakimś tam przytulaniem w samochodzie.

– No, wcale się nie dziwię, ty nie miałaś jeszcze 18 lat, więc jak to się mówi – prokurator trzymał rękę, a on w końcu dorosły facet.

– Czekaj, nie przerywaj co chwila – mówił, że po naszym ostatnim spotkaniu przebywał długo za granicą, potem, gdy wrócił do kraju, szukał mnie u tej ciotki, u której mieszkalam, i w kwiaciarni. Ciotka mu powiedziała, że wyszłam za męża, ale adresu mu nie podała. My, jak wiesz, niedługo po ślubie wprowadziliśmy się tutaj, więc nic dziwnego, że mnie nie znalazł.

– Och, gdyby się uparł, to by i znalazł. No i co dalej?

– Dałam mu swój telefon do pracy.

– I zadzwonił ?

– Przedwczoraj, umówiliśmy się na piątek.

– Czekaj, to jutro.

– Mhm, ale jutro Radek ma wolny dzień, nie wiem, co mam zrobić.

– Jolka, po co ci to, masz fajnego męża, po co szukasz problemów?

– Jakich problemów, przecież Radek nie może się dowiedzieć.

– Ciekawe, jakby się czuła, gdyby Konrad zrobił coś podobnego?

– Konrad ? – żartujesz, przecież widzisz chyba, że dla niego nie ma nic oprócz pracy, domu i dzieci.

– No, właśnie.